ROZMAITOŚCI.

Dnia 17. Czerwca. № 24. Roku 1857.

CZŁOWIEK BEZ IMIENIA.

Opowiadanie

przez

Walerego Łozińskiego.

Z przodu w nieznacznej oddali długi cienisty łańcuch Karpat, z tyłu nieprzejrzana płaszczyzna, przerznięta prądem Dniestru, a tonąca w niebieskawych smukach obłoków, po jednej stronie głęboki parów, ciągnący się wzdłuż dzikiej, jałowcem zarosłej wyżyny, po drugiej ciemne pasma gęstych lasów świrkowych, w powietrzu woń i rzeźwość balsamiczna — oto czarowna okolica na pogorzu, wśród której leży wielkie i zamożne sioło Starzeliska.

Na końcu sioła, poza długą cienistą ulicą lipową, wznosi się na wyniosłym pagórku okazały dwór murowany, ocieniony wielkim sadem owocowym od północy, a otoczony zewsząd wysokim na poły spruchniałym już ostrokołem.

W niejakiem oddaleniu, w pośrodku niejako między wsią a dworem, bieleje wśród rozłożystych lip i jasionów stara cerkiew murowana, obok niej jeży się pochylona wiekiem dzwonnica, a tuż zaraz przypiera obszerny cmentarz, obwiedziony dokoła koroną z cierui i głogu.

Przed cerkwią stoją i klęczą tłumy ludu w świątecznych strojach, ze środka cerkwi rozlega się uroczysty głos dzwonka, pomieszany z donośnym spiewem kapłana.

Jestto festynny dzień dla Strzelisk, uroczystość świętych apostołów Piotra i Pawła, pora wielkiego odpustu w parafii. Cerkiew nie pomieściła licznych przybyszów z obcych wsi pobliskich, tłumy pobożnych modliły się poza murami świątyni, a na nagły odgłos dzwonka porwało się wszystko z ziemi, robiąc skwapliwie miejsce procesyi, wychodzącej właśnie z wnętrza cerkwi.

Po odwiecznym zwyczaju miejscowym odbywała się corocznie w dzień odpustu uroczysta procesya do małej kapliczki ś. Jerzego, przypartej do najodleglejszego zakątka obszernego cmentarza.

Wszystkie tłumy rozlały się pod przewodnictwem kapłana, przy orszaku chorągwi i obrazów śś. patronów, wśród pobożnych spiewów i odgłosu dzwonków, na posępny obszar cmentarza, i zmierzały wprost ku kaplicy.

Na kamiennych stopniach kapliczki klęczał oddawna jakiś człowiek pochylony w gorącej modlitwie. Strój jego odróżniał go na pierwsze wejrzenie od odpustowych tłumów wieśniaków, cała postać wzbudzała poszanowanie i zajęcie.

Byłto starzec zgrzybiały w długiej orzechowej kapocie, z granatową czapką pod pachą. Odkrytą głowę otaczały po krawędziach jakby blade promienie światełka skąpe kosmyki śnieżnej białości włosów, złożone na piersiach ręce drżały z wycieńczenia sił w ramionach.

Zatopiony w gorącej modlitwie, nie zważał staruszek na zbliżający się pochód procesyjny. Dopiero gdy odgłos spiewu i dzwonków pod samą zbliżył się kaplicę, porwał się nagle z kamiennych stopni, i zwrócił twarz ku procesyi.

Na jego widok przebiło się lekkie zmieszanie w twarzy kapłana, a cichy przytłumiony szmer obiegł tłum pobożnych od końca do końca.

— „Człowiek bez imienia! Człowiek bez imienia!“ — wyrwało się tuowdzic półgłosem.

Staruszek który tak osobliwsze wywarł na wszystkich wrażenie, stał ciągle nieruchomy na stopniach ołtarza. Dziwną też i niezwyczajną była cała jego powierzchowność.

Blade starością czoło sępił jakiś ciągły niepokój, w twarzy zwierciedliło się piętno głębokiej boleści, w oczach majaczył wyraz obłąkania, usta wnet jaśniały uśmiechem dziwnej pokory i łagodności, wnet układały się w jakąś niemą a gorzką skargę.

Chwilkę patrzył przed siebie ni to w jakiemś na poły nieświadomem zamgleniu, naraz skrzyżował drżące ręce na piersiach, oczy zawrócił ku niebu, i przechylając nieco na

bok głowę, ozwał się rzewnym, błagającym głosem.

— „Poczciwi ludzie! Na miłość boską, dajcie mi imię, bo ja nie mam żadnego. Postradałem obadwa i chrzestne i ojcowskie“ — dodał z ciężkiem i bolesnem westchnieniem.

Starzec wymówił to wszystko tak błagającym tonem, w głosie jego było tyle rzewności, tyle cierpienia, w postaci i twarzy malowało się tyle smutku i powagi, iż mimo całe dziwactwo jego prośby, odbiło się głębokie współczucie na wszystkich twarzach, i każdy radby mu był dopomódz z duszy, z serca.

Z trudnością tylko zdołał wzruszony ksiądz uzbroić się w potrzebną powagę, i surowym skinieniem rozkazał mu usunąć się z kaplicy.

Staruszek zrozumiał rozkaz, a jakgdyby opamiętając się nagle, zeskoczył cożywo z kamiennych stopni i wmieszał się w tłum ludu.

Lecz niedługo wytrzymał w tem schronieniu. Towarzystwo ludzi zdawało się wywierać na nim jakiś wpływ bolesny, dręczący.

— „Oni wszyscy mają imiona“ — mruczał razporaz — „jam tylko, jam jeden bez imienia....“

I jakgdyby party jakąś tajemniczą siłą, przedzierał się starzec cotchu przez otaczające go tłumy, aż wreście przebił się na otwarte pole.

Tu dopiero odetchnął swobodniej, i zanurzył się w jakieś głębokie zamyślenie.

— „Przepadło!“ — mruknął po chwili, skręcając na piękną ulicę lipową, prowadzącą do dworu. — „Przepadło!... Nie wypłaczę... nie wymodlę już imienia na tem świecie... Napróżno błagam i żebrzę..... Muszę umrzeć bez imienia jak dzikie zwierzę w lesie.... A przecież tak się nie urodziłem.... siedmdziesiąt lat miałem imię i przezwisko jak wszyscy ludzie, dziś błąkam się bez imienia.... Niestety nie miałem siły odmówić starościcowi mego imienia. Ah, trudnożbo to było trudno!“

Wśród takiej głośnej rozmowy z samym sobą zmierzał staruszek wprost ku dworowi, a imwięcej zbliżał się do otoczonego ostrokołem dziedzińca, tem wybitniejsza rzewność malowała się w jego twarzy.

— „Mój Boże!“ — mruknął znowu, spozierając łzawem okiem dokoła. — „Przeszło pięćdziesiąt lat przepędziłem tu z imieniem.... a dziś jestem zupełnie bezimiennym.... Jem chleb dworski, a nie mogę pełnić żadnej służby, bo ktoż widział gdzie służącego.... kredencerza bez imienia.... bez nazwiska....“

Tu ciężko i boleśnie westchnął staruszek, i łzę otarł rękawem.

— „Ha... coż robić“ — wyszepnął po chwili. — „Poczciwy sługa powinien życie poświęcić dla swego pana.... jam tylko imię poświęcił... lecz coż warte życie bez imienia?... możnaż w takim stanie w latach zgrzybiałych zawadzać na świecie?“

Nareście stanął przed bramą dworu, i wszedł na dziedziniec.

Ocieniony lipami dwór Starzeliski miał zbliska o wiele okazalszą jeszcze powierzchowność, a lubo zwierzchu przybrał starannie kształt i barwę nowoczesnej mody, i ustroił się w wszystkie zewnętrzne przybory teraźniejszych pałaców, toć nietrudno było dopatrzyć już z głównych zarysów budowy, iż mimo wszystkich odnów, ozdób i upiększeń początkiem swoim sięgał on o wiele wcześniejszych czasów.

Staruszek spozierał nań z dziwnem rozrzewnieniem, a naraz skwapliwie pochwycił za czapkę, i skłonił się z wielką uniżennością.

Na ganku dworu ukazał się jakiś podeszły już w leciech mężczyzna o poważnej i łagodnej acz dumnej twarzy, przypruszony siwizną na skroniach, i nieco pochylony w postawie.

— „Jasny pan!“ — mruknął starzec, ponawiając swój ukłon uniżony.

W samej rzeczy byłto sam dziedzic Starzelisk i kilku kluczów przyległych, niegdyś starościc rzyszczewski dziś hrabia Kazimierz Drużewski. Nagły widok starca zdawał się jakieś przykre wywierać na nim wrażenie. Lekki rumieniec oblał mu lice, w oczach przebijało się niejakie zakłopotanie, a w pierwszym momencie chciał cożywo usunąć się z ganku, lecz nagle jakgdyby się wstydząc tego poruszenia, zatrzymał się w miejscu, i wyciągnął rękę ku staremu słudze.

Staruszek poskoczył co mu sił stało do ganku, i z serdeczną radością ucałował wyciągniętą ku sobie rękę.

— „Zkądżeto wracasz mój.... mój kochany?“ — zagadnął hrabia, jąkając się cokolwiek, jakgdyby tłumił w sobie jakieś wyrywające się z ust słowo.

— „Z odpustu jwny panie“ — odrzekł starzec z ciężkiem westchnieniem — „myślałem że jaki pobożny chrześcijanin uczuje litość nad moim stanem i obdarzy mię jakiem imieniem. Próżna nadzieja. Potrzeba już będzie umrzeć bez imienia....“

Hrabia wzdrygnął się nieznacznie.

— „Mówiłem ci przecie“ — ozwał się po chwili z widocznem natężeniem — „iż możesz przybrać napowrót swoje dawne imię.“

— „O, to nie uchodzi“ — zawołał starzec z dziwną stanowczością, zwyczajną w pewnych względach wszystkim obłąkanym. — „Wyrzekłszy się raz dawnego imienia, nie wolno mi już żadną miarą powrócić do niego.“

Hrabia wstrząsł się znowu. Cała ta rozmowa była mu widocznie bardzo nieprzyjemną.

— „Jakże ci się podobał mój nowy lokaj, Grzegorz“ — rzekł, skręcając mowę do innego przedmiotu.

— „Grzegorz!... Grzegorz!... ładne imię... przyzwoite imię....“ — szepnął starzec bez związku. — „Nie pełnię już mojej służby w kredensie, jwny panie. Człowiek bez imienia nie może przydać się do niczego.“

Na twarzy hrabiego malowało się coraz większe zakłopotanie, pomieszane z pewnem współczuciem żałośnem. Chciał już pospiesznie usnnąć się z ganku, gdy wtem głośny trzask bicza rozległ się tuż pod bramą, a po chwili z hukiem i turkotem czterokonna kareta zajechała na dziedziniec.

— „Ktož to taki?“ — zawołał hrabia. — „Pawłowski!“ — dorzucił po chwili sam do siebie.

Wymówione nazwisko uderzyło istnym gromem w nieszczęśliwego starca.

Śmiertelna bladość okryła zmarszczkami poorane lica, usta zadrzały mu konwulsyjnie, gwałtowny dreszcz wstrząsnął całem ciałem, i tak mocno zachwiał się na nogach, iż zatoczywszy się aż pod ścianę, padł bezsilny i nieruchomy na stojącą u ganku ławeczkę, nie zważając ani na obecność hrabiego, ani na przybycie nowego gościa.

— „Pawłowski!.... Pawłowski!....“ — szemrał z gwałtownem wysileniem, wodząc dokoła obłąkanym wzrokiem. — „Kto wymówił to nazwisko?... To przecież nie moje, nie moje!..“

I trzęsąc się cały jak w febrze, zakrył oboma rękami zmienione lica........

Aby zrozumieć nieszczęsny stan obłąkanego starca i wytłumaczyć sobie zagadkowe wobec niego zachowanie się hrabiego jak niemniej dziwny wpływ wymówionego półgłosem nazwiska, musimy o dziesięć lat wstecz cofnąć się w naszem opowiadaniu.

W owym czasie o wiele weselsze i gwarniejsze życie panowało w Starzeliskim dworze. Żyła bo jeszcze i nieboszczka hrabina, pani rozmiłowana wielce w zabawach, i młody hrabia Eugeniusz był właśnie na ożenieniu, a panna hrabianka dorastała dopiero lat dziewiczej dojrzałości. Liczniejsza też służba krzątała się wówczas we dworze, a brama częściej rozwierała się przed gościem.

Byłoto jakoś w poźnej godzinie przedpołudniowej. Wszyscy mieszkańcy dworu zgromadzili się w małym saloniku hrabiny, umeblowanym z gustem i przepychem.

Hrabia przechadzał się zakłopotany po pokoju, hrabina siedziała z córką na małej czerwonym aksamitem wybitej sofce, a młody hrabia w jakiemś niemem oczekiwaniu przyparł się do okna.

Od kilku chwil panowało już ciągłe milczenie w salonie.

— „Musi tak być“ — przerwała naraz hrabina z wielką rezolutnością, spozierając na syna wzrokiem porozumienia.

— „Ani słowa!“ — odrzekł hrabia — „nie przeczę temu bynajmniej. Ależ musicie uważać że zachodzą tu różne inne względy. Z starym Gabryelem nie można sobie postąpić jak z każdym innym sługą. Nieboszczyk ojciec mój zawdzięczał mu życie w pewnym przypadku, a my winniśmy mu znaczną cząstkę naszej fortuny. Nieraz wam już opowiadałem, że kiedy ojciec mój wziął udział w burzliwych wypadkach swojego czasu, a nieprzyjaciel napadł na jego dwór w Derżowie, Gabryel był w nim wtedy na gospodarstwie. Na kilka dni przed niespodziewanem najściem, udało mu się ukryć w piwnicy wszystko srebro kredensu wraz z ciężką szkatułą ojcowską, zawierającą kilkanaście tysięcy czerwonych złotych w gotówce. Ktoś zdradził tajemnicę, a biedny Gabryel wytrzymał dwieście nahajów, a nie wyjawił kryjówki zatajonego skarbu....“

— „Staramy się mu wszyscy wynagrodzić to wszelkiemi siłami, lecz tą razą trudna rada. Zresztą czyż to tak wielkiej, tak przykrej żądamy od niego ofiary?“ — dorzuciła hrabina z wzgardliwem wzruszeniem ramion.

— „Gabryel jak wszyscy starzy ulega niezawodnie pewnym uprzedzeniom, miewa napady dziecinnego uporu“ — ciągnął dalej hrabia. — „Potrzeba wystawić mu całą rzecz łagodnie.“

— „Jak ci się podoba“ — wycedziła hrabina, wzruszając znowu ramionami.

Hrabia zadzwonił.

— „Przywołać mi Gabryela“ — rzekł do wchodzącego lokaja.

W kilka chwil rozwarły się drzwi i krokiem powolnym wszedł do salonu łysy siwowłosy Gabryel, stary kredencerz jeszcze nieboszczyka ojca hrabiego, ś. p. starosty rzyszczewskiego.

Hrabia przeszedł się milcząc po pokoju raz jeden i drugi, a potem nabierając odwagi z spojrzeń żony i syna, przystąpił na kilka kroków do staruszka, i zażywszy z niezwyczajnym trzaskiem tabaki z złotej tabakiery, rzekł łagodnym tonem:

— „Mamy tu do ciebie pewien interes.... pewną prośbę... mój Gabryelu."

Na wyraz prośba zakaszlała hrabina, a młody Eugeniusz obrócił się z impetem do okna.

— „Słucham rozkazu jwny panie" — odpowiedział kredencerz z niskim ukłonem.

— „Wiesz przecie dla kogo kazałem restaurować i oporządzać prawe skrzydło dworu?...."

— „Wiem, jwny panie, dla przyszłej synowej, da Bóg doczekać" — odrzekł stary sługa prostodusznie.

— „Otoż wyobraź sobie, mój kochany, że dziwnym zbiegiem przypadku moja przyszła synowa otrzymała na chrzcie tosamo co ty imię."

— „Nazywa się Gabryela?" — wykrzyknął osiwiały kredencerz, i serce jego jakąś dziecinną uderzyło radością.

— „A tak Gabryela" — odpowiedział hrabia, i znowu z trzaskiem zażył tabaki. — „Nie potrzebuję ci mówić, na jakie nieprzyjemne nieporozumienia... zawikłania... zamieszania narażałaby podobna jednobrzmienność obudwóch imion. Sądzę tedy że sam już pojmiesz......" — dodał wpatrując się z coraz większem zakłopotaniem w pooraną zmarszczkami twarz starego sługi.

Poczciwy kredencerz nadstawił uszu, wytrzeszczył oczy, rozdziawił gębę, a zgoła nic nie pojmował jak w rogu.

— „Pojmiesz że w takim razie.... musi zachodzić koniecznie jakaś różnica... że..."

— „Że sługa i nowa pani nie mogą używać jednego i tegosamego imienia" — dokończyła zniecierpliwiona hrabina.

Gabryel spojrzał osłupiały na hrabinę, a potem wlepił oczy w hrabiego, jakby niedowierzał uszom i czekał jakiegoś wyraźniejszego objaśnienia z jego ust własnych.

— „I dlatego też dla uniknięcia wszystkich możliwych nieporozumień i nieprzyjemności" — ciągnął hrabia po krótkiej chwili — „potrzebaby, abyś po prostu przybrał jakie inne imię."

Stary kredencerz osłupiał z przerazenia.

— „Jakto z przeproszeniem j. w. pana" — zawołał pomieszany — „ja miałbym wyrzekać się mego imienia, otrzymanego na chrzcie świętym, które mi służy już przeszło lat siedmdziesiąt, i przybierać inne na jego miejsce? Broń mie Boże od tego!"

Hrabina rzuciła się gwałtownie na sofie. Hrabia zmieszał się zlekka, a po krótkiej pauzie prawił dalej mitygującym tonem.

— „Musisz rozważyć że jestto niejako koniecznością, mająca za sobą najsłuszniejsze powody. Zmiana imienia nie może ci najmniejszej przynieść szkody, owszem możesz sobie przybrać imię o wiele piękniejsze, dźwięczniejsze, nadobniejsze np. Józef, Hilary, Teofil, Kajetan, Ignacy..."

I zakłopotany hrabia miał ochotę wyliczyć cały kalendarz imion jedno po drugiem, byle tylko przełamać upor starego sługi.

Lecz byłato za słaba dla niego ponęta. Przestrach i opór poczciwego kredencerza miał zanadto silne i ważne powody. Pod jego łysą czaszkę powstawały wcale inne obawy i powątpiewania.

— „Na miłość boską jwny panie" — zawołał. — „Toć przyjmując nowe imię obraziłbym do żywego archanioła Gabryela mojego świętego patrona, który tak długie lata trzymał mię pod swoją opieką. Ręczę, że wzgardziwszy jego obroną, nie uzyskałbym pewnie łaski nowego wybranego patrona, i musiałbym samopas bez wszelkiej niebieskiej pomocy tułać się po świecie."

Młody hrabia uśmiechnął się z lekka, hrabina i hrabianka spojrzały na starca z politowaniem, a p. Kazimierz zaczął go uspokajać jak mógł najwymowniej, nie szczędząc mnogich przykładów postronnych, i dowodząc wszelkiemi siłami jak słusznem i niezbędnem jest jego żądanie.

Biedny kredencerz słuchał z uwagą przekonujących argumentów swego kochanego pana. Pot sączył mu się strumieniami z czoła, wywiędłe lica okrył żywy rumieniec, i długo wahał się i walczył z sobą nieborak, aż wreście po długim namyśle uciekł się do jakiegoś pośredniego heroicznego postanowienia.

— „Za nic w świecie nie posunąłbym do tego stopnia despektu i niewdzięczności dla mego dotychczasowego patrona, abym gardząc jego świętą opieką udawał się do innego niebieskiego protektora, ale kiedy już taka wola jwnego pana i taki przypadek niefortunny, że nie mam pozostać przy mojem teraźniejszem imieniu, toć niech i tak będzie. Wyrzekam go się na wieki, ale broń

Boże abym na jego miejsce miał przyjąć inne. Nazywam się po ojcu Pawłowski, i toż niech będzie mojem jedynem nazwiskiem, jakgdybym nie miał nigdy chrzestnego imienia."

— „Mniejsza o to! Będziemy cię odtąd nazywali Pawłowskim..." — zawołał hrabia uradowany z ostatecznego zwycięztwa.

Stary kredencerz wyszedł z salonu blady, smutny, zmartwiony. Cały dzień obsiadały go jakieś dziwne myśli, roił niestworzone rzeczy o swoim patronie niebieskim, i dwa tygodnie nie mógł przyjść do siebie i oswoić się z nieszczęsna utratą imienia.

Lecz czegoż nie uleczy czas? W półtora roku zapomniał już stary kredencerz Pawłowski o swojej niedawnej ciężkiej próbie, zgodził się ze wszystkiem na jedno tylko nazwisko, a choć często zatęsknił za dawnym Gabryelem i nie przestawał odprawiać codziennych modlitw, litanij i antyfon do dawnego patrona ś., toć przy tem wszystkiem tak się już przyzwyczaił do swego stanu, jakgdyby od pierwszej już młodości nie miał żadnego imienia chrzestnego.

Tymczasem młoda hrabianka dorosła już w dojrzałą pannę. Dwór starzeliski ożywiał się z każdym dniem; ze wszystkich stron garnęli się konkurenci, boć jasnowłosa panna Kamila łączyła z niemałym posagiem i imię znakomite i urodę niepospolitą. Dzięki też tym wszystkim zaletom nie bardzo kwapiła się z wyborem, i niejedno już odrzuciła oświadczenie, aż nareście po długiem przebieraniu uległa niezbytemu losowi.

Pewnego dnia zajechał z niezwyczajnym szumem i trzaskiem czterokonny pojazd na dziedziniec, a potrzeba była tylko raz od niechcenia rzucić okiem na dobór i uprząż koni, na gust i świeżość liberyi, na wytworność samego powozu, aby odgadnąć nowego konkurenta.

Między służbą dworską obiegała zaraz pogłoska, że nowoprzybyły to jakiś bogaty baron z Podola, że już w stolicy zrobił z panną znajomość, i przybywa pewny siebie do ukończenia sprawy.

Stary kredencerz niezmiernie nie lubił plotek, i karcił je surowo przy każdej sposobności, lecz tą razą nie wiedzieć dlaczego dziwnej jakiejś ulegał zmianie, i sam dopytywał się najciekawiej o świeżym konkurencie.

Niepodobna się było wszakże dowiedzieć dokładnie jak się nazywał. Kamerdyner mienił go uparcie Michałowskim, panna służąca mówiła coś o Piotrowskim czy Tomaszewskim. To tylko było pewną że zaraz po jego odjeździe zebrali się państwo na jakąś sekretną a ważną naradę, a kamerdyner podsłuchał pod drzwiami, że bardzo często wymawiano imię starego kredencerza. (D. n.)

JENERAŁA GORDONA PAMIĘTNIK

o pobycie w Polsce od r. 1651 do r. 1661.

przez

W. Łoz.

(Ciąg dalszy.)

IX.

Nowy awans.

Gdym mu jednak wymownemi wystawił słowy, na jakie podejrzenie i niebezpieczeństwo naraziłby się jako szlachcic przywłaszczeniem sobie cudzych własności, ochłonął z pierwszego gniewu, a powoli złagodniał do tego stopnia, że mię pochwycił w swoje ramiona, i uściskał jak przyjaciela. Nie życzyłbym jednak nikomu podobnych oznak przyjaźni, mnie one omal kości nie pogruchotały.

Potem zaprosił mię rozochocony do stołu, a oddawszy bez wszelkich dalszych trudności wszystkie zagrabione konie, siodła i rzeczy, tak mię nakoniec upoił, że dopiero po kilkugodzinnym śnie mogłem wyruszyć w dalszą drogę.

Przyznam się jednak iż nie tak łatwo podjąłbym się po raz drugi podobnego kroku, zwłaszcza że mię do tego żaden nie naglił obowiązek.

Powróciwszy do obozu, dowiedziałem się iż hetman pokilkakrotnie dopytywał się o mnie, i zapewnie jakieś pilne ma powierzyć mi zlecenie. Pospieszyłem do niego bez wszelkiej odwłoki, i zastałem go właśnie przy obiedzie.

Miasto zapowiedzianego zlecenia czekało mię tu nowe nieprzewidziane wywyższenie. Z licznych zbiegów swedzkich i innych ochotników cudzoziemskich, umyślił hetman utworzyć sobie nowy pułk nadworny, a mnie poruczał dowództwo nad jedną kompanią.

Podziękowałem dostojnemu panu z serdecznem wylaniem za tyle łaski i zaufania, a zaraz nazajutrz udałem się w drogę do Starego Sącza, gdzie moja kompania miała stać załogą.

Przed odjazdem otrzymałem jeszcze od hetmana medal, wybity w Gdańsku na pamiątkę

długiego oblężenia i walecznej obrony twierdzy. Po jednej jego stronie widać było Gdańsk i armię oblężniczą z napisem: *Caussa deo placuit sed et arma juvantia caussam*, po drugiej stronie znajdował się napis: *Deo opt. max. auspice rege conatibus fideliam civium coram aspirante* etc.

W ciągu podróży do Starego Sącza przyłączyło się do mnie dwóch szlachty, dawnych towarzyszów w armii Lubomirskiego, usuniętych od służby dla jakichś przekroczeń dyscyplinarnych. Obadwaj byli ludźmi nader krotofilnego humoru, w ich towarzystwie odbywałem podróż najprzyjemniej w świecie, i sam nie wiedziałem jak i kiedy stanąłem w Gniewie, gdzie znajdował się zamek hetmana, służący także za więzienie kilkuset jeńcom szwedzkim.

Kazałem ich zaraz przywołać do siebie, a zbywszy pokrótce wszytkie ich słuszne i niesłuszne zażalenia, zapytałem kto zechce wejść pod moje rozkazy w służbę polską. Skłonili się do tego prawie wszyscy bez wyjątku, bo długa niewola wyczerpała zupełnie cierpliwość nieboraków, i gotowi już byli na wszystko i do wszystkiego.

Więzieni w lochach zamku, pozwolili sobie na kilka tygodni przed mojem przybyciem do Gniewu dość zuchwałej sprawki. Przebiwszy dwie ściany podziemne, dostali się do piwnic hetmana, i dobrali się tak zręcznie do jej zapasów, że w przeciągu kilku dni wypróżnili mu trzy wielkie beczki najwyborniejszego wina.

Opowiadał mi Paprocki, wielkorządzca hetmana, iż na pierwszą wiadomość o tym wypadku, uniosł się Lubomirski wielkim gniewem, i postanowił ukarać zuchwalców. Przed wydaniem wyroku zapytał jeszcze jako pan wielce szlachetny i sprawiedliwy, czem mogą uniewinnić swój uczynek.

— „Mówią że pili zawsze za zdrowie jw. hetmana“ — odpowiedział mu Paprocki. Lubomirski parsknął głośnym śmiechem i rzekł udobruchany:

— „Podziękujże im waszmość w mojem imieniu, powiedz jednak, niech już na przyszłość hamują się w zapale, bo niemiałbym nawet spełnić czem zdrowie ich monarchy, gdy podoba mu się zawrzeć pokój z nami.“

Piękna ta odpowiedź może posłużyć za nowy dowód tej wspaniałości serca Lubomirskiego, która przebijała się w każdym jego słowie i uczynku, i jednała mu mnóstwo stronników i przyjaciół między szlachtą.

Uformowawszy już jakotako moją kompanię w Gniewie, wybrałem się z nią na przeznaczone stanowisko. Pieniędzy na drogę i żywność nie dostałem wcale z kasy hetmana, potrzeba się też było utrzymać kosztem mieszkańców, co lubo w czasach wojennych zwyczajem w Polsce, zawsze jednak na różne niemiłe naraża zatargi i nieprzyjemności.

Do tego grasujący wówczas w kraju mór nawidził i moje szeregi, i zaraz w pierwszych dniach marszu zmiotł mi kilku żołnierzy. W takim stanie przybyłem do Torunia, a otrzymawszy tam chorągiew i bęben, wyruszyłem w daleka podróż do Starego Sącza.

W drodze nie uszłem i ja panującej choroby. Napadła mię ona niedaleko Poznania, i zmusiła do złożenia dowództwa w ręce mego porucznika Williama Guild. Aby nie odebrać ducha żołnierzom, zataiłem im stan mój jaknajstaranniej, i pospieszyłem cożywo do Poznania, gdzie jakiś stary Żyd słynął rozgłośnie z szczęśliwych kuracyj tej strasznej choroby.

Przybywszy tam w samą sobotę nie zastałem Żyda w domu. Modlił się właśnie w bożnicy.

Choroba moja wzmagała się tymczasem coraz gwałtowniej, musiałem więc pójść za nim do bożnicy.

Byłto staruszek bardzo poważnej i łagodnej twarzy i wielce ujmujący obejściem.

Na moją prośbę nie wahał się przerwać modlitwy, i wyszedłszy ze mną zaraz na świeże powietrze. kazał mi przedwszystkiem upuścić krwi z jednego ramienia, a potem przyprawił mi jakieś pigułki, które jakby cudem uleczyły mię do razu.

W dowód mojej wdzięczności ofiarowałem mu dwa dukaty, lecz ku największemu zdziwieniu memu, odrzucił Żyd zasłużony podarek, wymawiając się iż podróżnych, ubogich i żołnierzy leczy bez wszelkiego wynagrodzenia.

Ledwiem go zdołał namówić, że za większą ilość tych zbawiennych pigułek, wziętych dla moich żołnierzy, przyjął stosowną zapłatę. Posłużyły mi one niebawem z najpomyślniejszym skutkiem. Dopędziwszy bowiem moją kompanię w miasteczku Pyzdry, zastałem 23 chorych, a dzięki informacyi i pigułkom poczciwego Żyda, ocaliłem prawie wszystkich od śmierci.

Tak znaczna jednak liczba chorych w mojej kompanii przestraszyła wszystkich mieszkańców miasteczka, a burmistrz i rajcy

zażądali odemnie, abym uchodził z miasta, inaczej wyprą mie mieszczanie przemocą.

Na moje oświadczenie iż będę się bronił do upadłego, i gotów jestem podpalić miasto w najgorszym razie, wdali się rajcy w układy, i przyrzekli mi znaczny podarek, a dla każdego żołnierza po parze butów, jeśli ustąpię dobrowolnie. Aby nie wywołać jakiego zajścia nieprzyjemnego, przyzwoliłem po krótkiem wahaniu, i muszę przyznać że mieszczanie dopełnili sumiennie swoich przyrzeczeń.

X.

Przygody w marszu.

Wyruszywszy z Pyzdr, puściłem się w dalszą podróż gościńcem na Wieluń i Kalisz.

O kilka mil za Wieluniem czekały mię nowe nieprzyjemne zajścia. Słynął w tych stronach z zuchwałej dumy starosta babimoscki, pan możny i bogaty, a przypadek chciał iż właśnie we wsi jego siostry zająłem kwatery, i zażądałem dostarczenia żywności.

Ufna w powagę i znaczenie brata, odmówiła dziedziczka wręcz memu żądaniu, owszem kazała mię upomnieć, abym cożywo uchodził z jej posiadłości.

Dla samego zachowania powagi wobec moich żołnierzy, musiałem uciec się do środków gwałtownych. Nie zważając bynajmniej na wszelkie przechwałki i odgróżki, roztasowałem się wygodnie we wsi, a żołnierze moi uprowadzili ze dworu przemocą kilka sztuk bydła i nierogacizny.

Obrażona i rozgniewana dziedziczka wysłała w skok gońca do starosty, a w niespełna dwie godziny najechał mię w mojej kwaterze poczet zbrojnych ludzi.

Ujrzawszy całą moją kompanią, zebraną z bronią w ręku w pobliżu mego mieszkania, nie śmieli napastnicy dopuścić się żadnej gwałtowności, żądali tylko pomówić ze mną w imieniu starosty. Zezwoliłem na to z wielką gotowością, i kazałem czterech z nich prosić do siebie do pokoju.

Weszło natychmiast czterech drągalów, kozaków w służbie starosty, ubranych z tatarska i niesłychanie zuchwałych w twarzy i postawie.

Na moje grzeczne zapytanie odpowiedzieli mi z jaknajwiększą rubasznością, iż jeśli cożywo nie wyniosę się ze wsi dobrowolnie, narażę się na nieprzyjemności.

Chcąc nie chcąc musiałem i ja zmienić ton, i odpowiedzieć im stanowczo, iż należąc do armii hetmana Lubomirskiego, ubliżyłbym jemu i polskim sztandarom, gdybym uląkł się ladajakiej pogróżki.

Kozacy wyszli odemnie w największem oburzeniu, przerzekając rychły powrót w znaczniejszej sile.

Po ich wyjeździe ściągnąłem moją kompanię do czterech chat pobliskich, i rozstawiając wszędzie pilne straże, postanowiłem czuwać noc całą.

Na szczęście obeszło się tą razą bez dalszych zajść, owszem sama dziedziczka ukorzyła się nieco w dumie, i w wykupno zagrabionego bydła i nierogacizny nadesłała nam obficie wszelkiej żywności.

Dowiedzieliśmy się poźniej że starosta nie mógł na prędce zebrać dostatecznych sił do naszego wyrugowania, i mimowoli musiał puścić płazem uchybienie swojej dumie wygórowanej.

Za toż nie ominęła nas zaraz na trzeci dzień pewna o wiele nieprzyjemniejsza przygoda, która mogła bardzo niebezpieczne pociągnąć za sobą skutki.

Stanąłem noclegem w niedalekiej wsi Michałowie, gdzie dziedzic uchodził za wielkiego burdę i nieprzyjaciela żołnierzy a szczególniej cudzoziemskiego autoramentu. Wyszedłszy zwycięzko z sporu z starostą babimosckim, niewiele ważyłem sobie nowe niebezpieczeństwo.

Przechodząc koło dworu dziedzica, obaczyłem jego samego z dwudziestą do trzydziestu służby na ganku. Na moje grzeczne pozdrowienie zapytał mię z dumą:

— „Waszmość zamyśiasz może rozłożyć się u mnie kwaterą?“

Odpowiedziałem, że strudzony marszem całodziennym zmuszony jestem do tego.

Szlachcic zmarszczył brwi, wyprężył się hardo w całej postawie, i wycedził grożnie:

— „Przestrzegam że nie lubię podobnych gości w mojem siole, a mam środki na natrętów. Albo pójdź sobie dalej z panem Bogiem, albo pilnuj się dobrze dzisiejszej nocy.“

— „Zbytne znużenie żołnierzy nie pozwala mi dogodzić życzeniu waszmości“ — odrzekłem mu niezmieszany. — „Muszę na wszelki sposób być jego gościem do jutra, serdecznie też dziękuję za daną przestrogę, lecz ostrzegam nawzajem z swojej strony, iż na gwałt gwałtem odpowiem.“

Szlachcic uśmiechnął się wzgardliwie, i usunął się do mieszkania. Ja tymczasem zacząłem kompanię moją rozdzielać po wsi; zaledwie jednak wydałem potrzebne rozkazy,

gdy ze dworu wybiegł do mnie bawiący tam w gościnie szlachcic, imieniem Piotr Krupka Przecławski, towarzysz w pułku kozaków Lubomirskiego.

— „Służąc w tymsamym korpusie co i waszmość“ — rzekł do mnie po krótkiem pozdrowieniu — „winienem cię upomnieć po przyjacielsku, abyś nie roztasowywał się we wsi wbrew naszej woli, bo inaczej źle wyjdziesz. Dziedzic nie lubi obcych żołnierzy, a jam jego przyjacielem.“

Zacząłem na to przedstawiać Przecławskiemu jak niesłuszne jest ich żądanie. Po trzymilowym przeszło marszu nie mogę puszczać się dalej z kompanią, a nie podobna mi zbaczać do innego sioła, kiedy Michałów leży tuż przy gościńcu.

Przecławski mruknął coś niezrozumiałe pod nosem, i wrócił do domu, a po kilku chwilach przybył znowu do mnie.

— „Tylko z koleżeńskich względów postanowiłem raz jeszcze upomnieć waszmość, abyś nie trwał w uporze i nie narażał się na przykre skutki swego uporu. Wychodź sobie z Bogiem, dopóki cię wzywają po dobremu“ — rzekł mi na pozor z serdeczną szczerością.

Dumny z niedawnego dotrzymania placu tak groźnemu staroście babimoskiemu, nie zważałem na te wszystkie przestrogi, i odrzekłem zniecierpliwiony:

— „Powiedziałem już raz, że nie chcę i nie mogę dziś jeszcze wyruszyć z Michałowa, jutro za to pójdę dalej, choćby mię dziedzic nogami i rękami przytrzymywał.“

— „A jeśli dziś wyrzucimy was przemocą?“ — zawołał Przecławski niecierpliwiąc się. (D. c. n.)

Woń kwiatów. Cenimy i lubimy kwiaty jużto dla ich kształtów nadobnych, już dla barwy i woni, zawsze jednak ostatni przymiot pociąga nas najsilniej do siebie. — „Woń kwiatów, to ich dusza którą wyziewają dla naszej przyjemności“ — powiedział ktoś w poetycznem uniesieniu. Lecz zkądże właściwie rodzi się to zjawisko, tak powabne dla naszych zmysłów, tak różne w swoich odmianach? Dawno już odpowiedzieli na to naturaliści. Według ich zdania każdy zapach nie jest niczem innem jak tylko niewidzialnym, nieskończenie lekkim eterycznym wyziewem z tego lub owego przedmiotu. Dotyka on zmysły nasze w tak drobnych i leciuchnych atomach, iż żadna umiejętność ludzka nie umie podciągnąć go pod jakieś prawa lub naznaczyć mu jakieś granice. Zważywszy zaś iż każdy woniejący przedmiot wyziewanicm zapachu nie traci bynajmniej na wadze, i tak np. jeden gran piżma i po dziesięcioletniem wonieniu waży zupełnie tosamo co wprzódy, możnaby łatwo nakłonić się do przypuszczenia, iż każdy zapach nie jest wyziewem z jakiegoś przedmiotu, ale raczej skutkiem chemicznego wpływu, jaki przedmiot ten wywiera na otaczające go powietrze. Umiejętność rozróżnia trzy rodzaje woni, mianowicie woń stałą, chwilową i zmienną. Pierwsza powstaje z eterycznych cząstek, zamkniętych w twardszych ciałach roślinnych, jak np. w korach i jądrach drzew. Ztądteż każde drzewo ma swoją trwałą woń właściwą, która choć często za słaba dla naszego zmysłu, nie opuszcza go przecież aż do spopielenia lub zupełnej zgnilizny. Drzewo *różane z Teneryfy*, drzewo *cedrowe* i *sandałowe* przejmuje wonią swoją całą otaczającą je atmosferę. Woń chwilową spostrzegamy u wszystkich kwiatów bez wyjątku. Z zwiędnięciem listków kwiatu znika zwyczajnie i najsilniejszy zapach, i nic w świecie nie zdoła przywiązać go trwale do tej lub owej rośliny. Zmienna woń pojawia się również w świecie roślinnym. Spostrzegamy ją np. u kwiatów, które w dzień albo zupełnie są bez woni, albo wcale inaczej wonieją jak w nocy. Takzwana roślina *Cacalia septentrionalis* pachnie wtedy tylko, gdy promienie słońca spadają na nią prostopadle, a nawet w takim razie zawieszona nad nią tarcza z papieru pozbawia ją zupełnie woni. Inna znowu roślina takzwany *cercus*, wypuszcza z siebie woń z lekkim łoskotem tylko co półgodziny. Niektórzy naturaliści próbują dopatrzyć pewnych stosunków między barwą a wonią. Pokazuje się też w samej rzeczy, że białe kwiaty pachną zwyczajnie najsilniej i najprzyjemniej; żółte i brunatne odznaczają się właśnie przeciwnemi przymiotami. Przy dokładniejszem badaniu może ten domniemywany stosunek barwy i woni z matematyczną pozwoli wykazać się pewnością, dotąd jednak polega on tylko na prostych domysłach i przypuszczeniach.

Śmieszne mody we Francyi za czasów Ludwika XIII. Najgłówniejszym przyborem i niezbędnym niejako warunkiem ówczesnej elegancyi męzkiej były wielkie buty z cielęcej skóry, przeniesione z stajen na salone królewskie. Sięgały one zazwyczaj aż powyżej kolan, a im głośniej skrzypiały, tem cenniejsze przyznawano im zalety. Z tego też powodu noszono tak ciasne cholewy, iż chcąc je wdziać na nogi, musiał biedny elegant uciekać się naprzód do zimnej kąpieli. Kto wyrzekł się miana wytwornisia, a chciał tylko uchodzić za porządnego człowieka, musiał miasto podobnych niewygodnych butów występować zawsze i wszędzie w pończochach i trzewikach. W lecie nie sprawiało to jeszcze zbyt wielkich przykrości, lecz za to w zimie potrzeba było z uszanowania dla mrozów nosić kilka par pończoch jedna na drugiej. Sławny poeta *Malhérbe* nosił je zwyczajnie w tak znacznej liczbie, iż przy odziewaniu każdej osobnej pary, wrzucał gałkę do wazy, aby na jedną nogę nie wdziać więcej par niż na drugą. Jego przyjaciel *Rancan* chciał mu ułatwić kontrolę, radząc aby poznaczył swoje pończochy literami alfabetu. *Malhérbe* usłuchał rady z największą wdzięcznością, spotkawszy się też z *Rancanem* po kilku dniach zawołał doń zdaleka: „Dziś połowę alfabetu dźwigam na nogach!“

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiej drukarni rządowej.*